№ 26. Warszawa, 26 Listopada 1910 r.

Odrodzenie

Tygodnik polityczno-społeczny, literacki i artystyczny

№ 26. Warszawa, 26 Listopada 1910 r.

Odrodzenie

Tygodnik polityczno-społeczny, literacki i artystyczny.

Redakcja i administracja: Trębacka 10. Telefon 144-40.

Wielki herezjarcha.

Jerzy Huzarski.

Oddawna już tak zgodnie nie biły serca rosyjskie, jak w chwili, gdy telegram rozniósł po świecie wieść o zgonie starca z Jasnej Polany.

Wszystkie sfery: od najskrajnieszych do najbardziej umiarkowanych pospieszyły z hołdem dla cnót zmarłego. Nawet syk prawicowych gadzin przycichł wobec tej jednomyślności, przycichł, lecz nie umilkł, bo w tych tworach dwunożnych wszystko, co lepsze i szlachetniejsze z natury rzeczy wywołać musi odruch niechęci. Lecz tym razem, wobec świeżej mogiły szlachetnego starca umilkli, jak gdyby wstydząc się swych zoologicznych uczuć, — choć zazwyczaj uczuć tych nie kryją, ale głoszą je urbi et orbi wielkim głosem rozjuszonych szakali.

Nawet i Europa, zwykle dość zimna i obojętna, gdy chodzi o pisarzy rosyjskich, tym razem przyłączyła głos swój do głosu Rosji: nowy i stary kontynent, Zachód i Wschód, Europa i pół-Europa, wspólnym okrzykiem szczerego żalu odpowiedziały na wieść o zgonie rosyjskiego anachorety XX-go stulecia.

A w wyrazach żalu, w pełnych entuzjazmu charakterystykach zmarłego niema tym razem fałszywej nuty, sztucznego ciepła i zdawkowych frazesów, którymi zazwyczaj przystraja się świeży grób — w myśl zasady: de mortuis nil nisi bene.

Nie! zupełnie szczerze unosi się świat cywilizowany nad wyjątkową osobistością, bez cienia obłudy żegna z żalem schodzącą w mroki niebytu postać wielkiego starca.

W pożegnaniu tym wzięła też udział cała Polska, jednogłośnie składając hołd myślicielowi z Jasnej Polany. Było to oczywiście obowiązkiem naszym, gdyż zgasły pisarz należał do rzędu tych nielicznych jednostek, z których ust tylko słowa miłości padały, które zawsze mężnie podnosiły głos w obronie uciśnionych.

Gdy jednak obowiązek ten został już spełniony, wolno nam krytycznie rozpatrzeć całą działalność zmarłego, a więc: artystyczną, polityczną, filozoficzną i religijną. Wolno nam wykazać cienie i refleksy, które obok świateł poczesne miejsce zajmowały w skomplikowanej duszy tego nawróconego grzesznika i gorącego apostoła cnoty.

Żaden z tych cieni nie może przynieść Tołstojowi ujmy, jako człowiekowi, bo działał i mówił w dobrej wierze, sądzimy więc, iż nie będzie to profanacja grobu człowieka — któremu złożyliśmy należny hołd — gdy krytycznie i bezstronnie zanalizujemy działalność myśliciela, gdy wykażemy rażące luki i błędy w jego teorjach.

*
* *

Myśliciele, przeciwstawiający się cywilizacji popełniają dwa kardynalne błędy: idealizują naturę oraz człowieka.

Te dwa błędy popełniał przed Tołstojem Rousseau, który na naturę patrzył przez wytworną lornetkę salonowca, oglądał ją nie jako badacz, lecz jako pejzażysta i, złudzony jej powabem zewnętrznym, nie wejrzał w jej istotę, nie dostrzegł, iż jest ona bezładem i chaosem, wcieleniem bezmyślnego okrucieństwa i krwio-

żerczości. Właściwie nietyle nie dostrzegał on, ile nie chciał dostrzec treści, głęboko ukrytej pod zewnętrzną ponętą, gdy przeto za jego czasów wybryk matki-natury podczas trzęsienia ziemi w Lizbonie pochłonął tysiące ofiar, uciekał się do naiwnych a wykrętnych tłomaczeń, byle nie przyznać, iż natura jest żywicielką tylko o tyle, o ile człowiek wydrze jej środki do życia, zaś sama przez się jest ona raczej morderczynią, którą długie zapasy z trudem jako tako ujarzmiły, którą przez długie wieki trzeba będzie jeszcze ujarzmiać, nim z morderczyni i żywicielki stanie się tylko żywicielką.

Tołstoj spoglądał na naturę o wiele trzeźwiej: nie oczami estety, lecz praktyka i utylitarysty, który widział w niej poprostu niewyczerpaną skarbnicę; lecz i on nie doceniał okrucieństwa natury wogóle, a natury ludzkiej w szczególe.

Widząc współczesny, rzekomo cywilizowany świat tonącym w ohydzie, rozpuście i grzechu, utożsamił grzech i rozpustę z samą cywilizacją, uznał subtelność za synonin nieprawości, a prostotę za jednoznaczną z sprawiedliwością, dobrem.

I oto rzucił klątwę cywilizacji i wszystkiemu temu, co ją stanowi: wyklął sztukę, wyklął postęp techniczny, a za ideał uznał syna natury, chłopa o sercu czystym, choć prostym.

Zapomniał tylko, że brak cywilizacji — to poprostu barbarzyństwo, dzikość, z punktu widzenia etyki stokroć gorsze, niż nawet niegodziwości świata rzekomo cywilizowanego; w optymizmie swym nie dojrzał dzikiego zwierzęcia, tak wybujałego w duszy człowieka niecywilizowanego, zwierzęcia, które właśnie cywilizacja ujarzmia. Nie zwrócił uwagi na to, iż niegodziwości współczesnego świata nie są owocem cywilizacji, lecz dziełem opornego wszelkiej cywilizacji zwierzęcia ludzkiego, które jadem swym cywilizację właśnie znieprawia, wyzyskując ją na rzecz swych nizkich skłonności i celów.

Psychologicznie złudzenie Tołstoja jest najzupełniej zrozumiałe: i on, jak każdy, widział świat i człowieka przez pryzmat własnej duszy, sądził według swej miary. Wiedział iż sam oczyścił się z grzechów, gdy wyrwał się z pośród uciech życia cywilizowanego, gdy powrócił do prostoty, na łono natury. Ale nie docenił wagi właśnie swego pobytu na szczytach kultury, nie uświadomił sobie, iż właśnie w krynicy cywilizacyjnej obmył duszę swą z resztek zwierzęcości, iż, choć drogą p r z e s y t u zabił w sobie zwierzęce popędy, lecz do samej chęci zabicia ich doszedł dzięki ukochaniu ideałów, którymi obdarzyła go cywilizacja.

I tylko dlatego, że wchłonął w siebie całą kulturę wieków, mógł powrócić do prostoty, mógł wyrzec się cywilizacji, nie stając się przez to człowiekiem dzikim, barbarzyńcą o najgorszych właściwościach barbarzyńcy.

Lecz ten lud, dla którego stworzył on swą teorję, a który nie przeszedł tych wszystkich etapów znajdował się na innym poziomie.

On nie przerósł cywilizacji, jak Tołstoj, lecz nie dorósł do niej, a wskutek tego prostota oznaczała w nim dzikość, nieuznawanie kultury— ciemnotę.

Oczywiście Tołstoj widział te sprzeczności i—jak zdawało mu się—znalazł wyjście z nich. Odrzucając podstęp i cywilizację we wszystkich dziedzinach, czynił jednak wyjątek co do dziedziny moralnej. Pragnął doskonalenia się moralnego ludzkości, ku temu świetlanemu celowi radził skierować wszystkie wysiłki, porzucając puste troski o doskonalenie innych dziedzin.

Lecz to była teorja, ta wyśmiana przezeń w „Wojnie i Pokoju" teorja, której twórca zapomina, iż ma ona służyć do zastosowania w życiu.

Gdy bowiem pomyślimy o doskonaleniu się moralnym ludzkości, musimy myśleć o doskonaleniu środków propagandy tego doskonalenia. Wszakże sam, gdy propagował swe ideje, korzystał z druku, poczty, kolei i innych darów cywilizacji; wszak sam tylko dzięki udoskonaleniu środków komunikacji mógł w ciągu dni paru z Jasnej Polany szerzyć po całym świecie swe poglądy.

A przytym, nim zażądamy od ludzi doskonałości moralnej, musimy dać im możność moralnego życia, a więc uwolnić ich od walki o byt, która uniemożliwia właściwe moralne życie, która jest bezpośrednim bodźcem do gwałtów, niegodziwości.

Tołstoj roił wprawdzie o skromnym wyżywieniu ludzkości przez karmicielkę — naturę, i tu właśnie zapoznawał jej istotę, zamykał oczy na fakt, iż bez udoskonaleń technicznych, a więc znów cywilizacji, natura ludzkości wyżywić nie może.

* * *

Wśród etycznych teorji Tołstoja poczesne miejsce zajmuje teorja o nieopieraniu się złu.

W propagandę jej włożyl Tołstoj całą swą duszę, protestując zarówno przeciw gwałtom, jak i przeciw odpieraniu gwałtu siłą. Oczywiście i ta teorja należy do owych wyśmianych w „Wojnie i Pokoju“ t. zw. „pfalowskich“—to znaczy nie liczących się z życiem. Zresztą sam twórca, gdy praktykował ją z musu w Jasnej Polanie, zezwalając rodzinie na wyzyskiwanie okolicznych chłopów,—poznał całą jej kruchość. A te łzy, którymi podobno zrosił niedolę chłopów, były może łzami nad mogiłą różowych rojeń o chrześcijańskim zwycięstwie nad przemocą—przez niesprzeciwianie się złu.

Zastosowane w szerszym życiu, w tych czasach, w których żył Tołstoj—podobne teorje były przytym kołysanką, usypiającą żywe i młode siły. W okresie najostrzejszych walk i zmagań o ustrój polityczno-społeczny, wśród ogólnego roznamiętnienia, w dobie szczególnego rozpasania siły brutalnej, gdy mężowie stanu głosili królestwo siły nad prawem—słowa, które miast zagrzewać do czynu, nawoływały do kwietyzmu zakrawały wprost na bolesną ironję.

I jeśli przez uznanie dla dobrej woli i szlachetnych intencji autora nie wzięto ich za szyderstwo lub wspieranie silniejszego przez rozleniwianie słabszego — to tym niemniej odrzucono je najenergiczniej i nie wywarły one najlżejszego wpływu na bieg starć społecznych.

* * *

O rzekomo mistycznej filozofji Tołstoja pisać nie będziemy dla tej prostej przyczyny, iż filozofja jego w ścisłym słowa tego znaczeniu nie istnieje. To co zazwyczaj zwiemy jego filozofją jest poprostu wykładem teologicznym, o którym mówić będziemy, gdy przejdziemy do analizy religji tołstojowskiej.

Za to słów parę poświęcimy jego świetnym dziełom beletrystycznym.

W djademie literatury rosyjskiej, który posiada djamenty Turgenjewowskie, krwawniki Dostojewskiego, wspaniałe perły Niekrasowa, Gorkija, Andrejewa, — twory Tołstoja rozlśniewają nielada blaskiem.

„Wojna i Pokój“—najświetniejsza epopeja, jaką wydały ostatnie czasy, choć zgoła chybiona w tych częściach, w których autor oddaje się teoretycznym dociekaniom historjozoficznym i w sposób ciasno-mechaniczny ująć usiłuje istotę ruchów społecznych i politycznych, całe życie ludów—pozostanie po wsze czasy najwierniejszym zwierciadłem epoki, obfitującym we wspaniałe błyski myślowe, analityczno-psychologiczne i filozoficznę.

Tołstoj w iście genjalny sposób rzuca tu na tło życia historycznego życie codzienne, na tło życia zbiorowego życie jednostek; misternie i z olbrzymim poczuciem prawdy życiowej splata w harmonijną całośc jednostkę, „robiącą historyę“ z powszednim człowiekiem, jednostkę ze zbiorowiskiem. Bez przesady powiedzieć można, iż nigdy jeszcze statyka i dynamika życia nie została ujęta w beletrystyce z taką bystrością, prawdziwością i głębokością.

„Anna Karenina“ — grający pełnią barw obraz życia, mozajka z charakterów i typów, a wreszcie smutne westchnienie nad tragicznym, szarpanym przez żądze i przeciwności życiem ludzkim—stanowi jedną z najświetniejszych powieści rosyjskich.

„Zmartwychwstanie“ — powieść opisująca dzieje zbudzenia się duszy i sumienia, a jednocześnie bezlitośnie szczerze malująca grozę bytu tych, o których myśleć nie chcemy, tych, których społeczeństwo wykreśliło z listy żyjących normalnym życiem ludzi, których wydało na pastwę Molochowi sprawiedliwości — to wstrząsająca karta, która na wieki, jako uczciwe świadectwo i dokument dziejów dzisiejszych, w historji pozostanie.

Nie wymieniamy tu szeregu drobnych perełek, wśród których znajdują się takie arcydzieła uczucia, jak „Trzy śmierci“, nie wymieniamy utworów młodocianych, jak wspomnienia dzieciństwa lub z wojny sewastopolskiej, utwory pełne głębokiej refleksji, znamionujące bystrego obserwatora życiowego.

Wszystkie te dzieła zapewniają Tołstojowi jedno z pierwszych miejsc w literaturze rosyjskiej i wszechświatowej: obok Turgenjewa i Dostojewskiego jest on niezaprzeczenie największym pisarzem Rosji ubiegłego stulecia.

(d. c. n.)

Oligarchja finansowa we Francji.

Jul. Br.

I.

Istnieje pewne podobieństwo pomiędzy położeniem naszych radykałów a sytuacją paryskich bankierów. Pierwsi są, jak wiadomo, wiecznie twarzą zwróceni ku „wolnej, bogatej, oświeconej, świetnej" Francji. Ostatni mają również oczy niezmiennie utkwione, choć w stronie krajów nieco mniej wolnych, cokolwiek mniej bogatych, znacznie mniej oświeconych... Od pewnego czasu zarówno jedni, jak i drudzy znaleźli się w dość kłopotliwych tarapatach, — i tu właśnie podobieństwo staje się rażącym. Krótko mówiąc, jedni i drudzy zaangażowali się zbytnio. Finansiści paryscy ulokowali zbyt wiele w rozmaitych pożyczkach kabulskich i patagońskich. Dziś nie pozostaje im nic innego, jak nadrabiać miną i powiększać raz udzielony kredyt do potwornych rozmiarów. Nasi postępowcy nie umieszczają jeszcze kapitałów, — umieszczają jedynie sympatje. Otóż stało się tak, że cały ten drogocenny fundusz sympatji umieszczono (jeszcze za dobrych czasów Combes'a) we francuskiej polityce, we francuskim postępie. Niepodobna się wycofać... Więc Briand otrzymuje uznanie p. Pyrowicza i votum zaufania „Prawdy", zupełnie, jak p. Kokowcew, który otrzymał w spadku kredyt udzielony p. Witte.

Znalazł się we Francji publicysta, który ośmielił się poddać krytyce egzotyczne operacje pożyczkowe wielkich banków. Odpowiedziano mu, że podrywa kredyt publiczny i rujnuje rentjerów [1]). Wnioskuję z analogji, że na krytykę pewnych stron życia francuskiego, usłyszę odpowiedź, iż nadwyrężam postęp, szkaluję demokrację, poniewieram instytucje wolnościowe.

Mniejsza z tym. Osobiście uważam, że największą przysługą, jaką w chwili obecnej można wyświadczyć naszemu postępowi jest zerwanie łańcucha, którym go przykuto do spraw nadsekwańskich.

Podczas niedawnego strejku kolejowego we Francji, prezes ministrów Briand kilkakrotnie oświadczył, iż *nie może* zmusić Kompanji do wejścia w układy ze Związkiem Zawod. Kolejarzy. Kompanje kolejowe odmówiły nawet przyjęcia i wysłuchania delegatów związku, co uczyniło strejk nieuchronnym. Dlaczego rząd rzeczypospolitej nie mógł wywrzeć nacisku na Towarzystwa Kolei Żelaznych? Nasuwają się w tym względzie trzy następujące przypuszczenia: 1-o) Rząd uważał Kompanje za przedsiębiorstwa prywatne i kierował się literalną zasadą niemięszania się („nieinterwencji") państwa do konfliktów ekonomicznych. To przypuszczenie jest wszakże wykluczonym, gdyż, jak wiemy, ogłoszono koleje oficjalnie „funkcją publiczną", a interwencja miała miejsce w formie niesłychanie brutalnej: przez mobilizację personelu i aresztowanie przywódców. 2-o) Rząd nie mógł zmusić Kompanji do ustępstw, lub choćby do układów, gdyż *nie chciał*. Lecz pominąwszy to, że żądania kolejarzy francuskich były nadzwyczaj skromne, że chodziło w znacznej części *o realizację obietnic czynionych od 15 lat*, żadne ministerjum nie ściąga sobie na głowę podobnej burzy, jeżeli może jej uniknąć. Nie mogło również chodzić o t. zw. zasadę, gdyż Związek Robotników Kolejowych nie jest bynajmniej jedną z głów „hydry rewolucyjnej"; przeciwnie pracownicy kolejowi byli przez długi szereg lat *opoką reformizmu francuskiego*, armią wyborczą większości republikańskiej. Oni to jeszcze przy tegorocznych wyborach kwietniowych zadecydowali o zwycięstwie Milleranda, min. rob. publ. (i komunikacji), w XII okręgu Paryża.

Pozostaje 3-cie przypuszczenie: rząd nie mógł nic wskórać wobec Kompanji, gdyż *nie był w stanie*, gdyż natknął się na *potęgę równą sobie, lub większą*.

Jaka moc może się przeciwstawić państwu w kraju tak „zetatyzowanym" i scentralizowanym, jak Francja? Gdy mówimy o siłach okultystycznych, mamy zwykle na myśli dwie: kościół, lub wolnomularstwo. Przyznam się, że obie te czcigodne instytucje trącą mi staroświecczyzną. Posiadają one jeszcze niewątpliwie istnienie bardzo realne i daleko idące wpływy, lecz brak im pewnego nerwu, który jest (coraz bardziej i coraz wyłączniej) nerwem współczesnego życia: brak im podstawy ekonomicznej. Ustosunkowanie sił ekonomicznych

---

[1]) Lysis „Contre l'oligarchie financiere". „*La Revue*" 1906—7 i oddzielnie Paris 1908. Por. także debaty parlamentarne styczeń—luty 1907.

rozstrzyga dziś nawet w polityce międzynarodowej, spychając na plan zupełnie podrzędny kombinacje dynastyczne i widzimisię dyplomatów. Ten sam imperatyw działa w wewnętrznym życiu społeczeństw. Coraz mniej jest miejsca na krecią robotę jezuity, lub brata masona. Dziś potęgi zakulisowe, albo lepiej potęgi nieoficjalne, mogą istnieć na jednym tylko terenie. Dziś jest się potęgą ekonomicznie, lub nie jest się nią wcale. Ex-prezydent Roosevelt doświadczył boleśnie, że największa popularność w największej z republik nie pozwala narażać się bezkarnie takim „szarym eminencjom“ modern style, jak John Rockfeller i Pierpont Morgan.

Lecz trusty stanowią specjalność Stanów Zjednoczonych. Jakżeż można dopatrywać się czegoś podobnego w kraju wybitnie drobnomieszczańskim, — na szczęście, gdyż drobnomieszczańskość jest, zdaniem pewnych teoretyków, talizmanem, chroniącym na wieczne czasy od wstrząśnień i kataklizmów [1]). W istocie, dzięki szczęśliwemu (acz brutalnemu) rozstrzygnięciu kwestji rolnej, przeszło połowa mieszkańców Francji siedzi na własnym kawałku ziemi. Dodajmy do tego drobny handel, drobny przemysł i lepiej płatnych funkcjonarjuszy a otrzymamy w sumie znaczną większość ludności. Nie wiem w jakiej mierze ideał solidaryzmu przyświeca tym „warstwom średnim”. Posiadają one wszakże niewątpliwie inny ideał, do którego są namiętnie przywiązane. Ideałem tym jest renta. Chłop, sklepikarz, rzemieślnik ciuła grosz po groszu w kasie oszczędności. To jest początek. Drugim stopniem jest renta państwowa. Uciuławszy jeszcze trochę, przedstawiciel warstw średnich powierza swój dorobek bankom, zaczyna nabywać walory podług wskazówek swego bankiera. Bankier jest duszpasterzem tego stada i wychodzi na tym niekoniecznie gorzej, niż dawny ksiądz proboszcz. Lecz stado osiąga swój cel, staje się stadem rentjerów. Obie strony są zadowolone.

Tak więc koniecznym uzupełnieniem, jakby nadbudową „warstw średnich” jest bank. Dawniej było we Francji banków co niemiara. Lecz koncentracja, która—Marksowi na złość—oszczędziła drobnomieszczaństwo francuskie, okazała mniej względów dla drobnych bankierów. W chwili obecnej cztery instytucje kredytowe skupiają blisko 4½ miljarda franków należących do szerokiej publiczności. Są to: Crédit Lyonnais, Societé Generale, Comptów National d'Escompte i Crédit Industriel et Commercial. Budżet roczny Crédit Lyonnais jest większy od budżetu rzeczypospolitej francuskiej.

(d. n.)

[1]) O cudownych własnościach „warstw średnich” patrz Rapaport i Gorecki „Warstwy średnie“. Warsz. 1909.

OCZY...

Jako sumienia wyrzut twoje oczy
stają w noc jasną i cichą przedemną,
mówiąc mi bajkę spojrzeniem tajemną
o ptaku, co mrze w wieczystej po-
[mroczy.

Jawią się cudne, smętne twoje oczy
i pragnę teraz, byś tu była ze mną
chcę słyszeć baśń twą, tak dziwnie
[tajemną
o snach nieśnionych co, giną w po-
[mroczy.

O przyjdź, stań jasna, jak wizyjna
[zjawa
w złocistych liści obleciałych wianie,
jak noc przed świtem ponura, biaława
idąca smętnie na ciche skonanie.
O przyjdź... mnie dręczy jakaś mara
[krwawa
i czyjeś straszne, serdeczne płakanie.

Stanisław Kociemski.

NA ROZDROŻU.

Epizod z wieczności.

Stefan Gacki.

(Dokończenie).

STAROSTA, który odtąd trzyma się Grabca.

Jednakby warto pomyśleć zawczasu,
Co począć dalej. Oto noc się zbliża,
Tu w szczerym polu nie można popasu
Przedłużać zbytnio. Na wgórzu u krzyża
Zasiądźmy zgodnie na chwilę narady.

GRABIEC.

Trzy drogi mamy tutaj do wyboru,
Każda ma pewnie zalety i wady,
Więc by uniknąć próżnych słów i sporu
Myślę, że jednak byłoby najlepiej
Nie zbaczać nigdzie, nie zmieniać kierunku.

STAROSTA.

Myślisz, że ludzie są niemi i ślepi,
Lecz gdy się uprą, to niema ratunku.
W tę starą drogę stracili już wiarę,
Ręczę, że dalej krokiem się nie ruszą.
Gdy cierpliwości ich przepełnisz miarę,
Znów szemrać zaczną, że świat zmienić muszą.

GRABIEC (z uśmiechem).

Przecież te drogi wszystkie jednakowe

STAROSTA.

Tak, ale człowiek musi mieć nadzieje,
Ludziom wciąż złudy potrzebne są nowe
I kiedy jedne mary wiatr rozwieje,
Trzeba ostrożnie podsunąć mi inne.

MŁODY MĘŻCZYZNA.

Żarty stroicie, gdy na to nie pora!
Kto będzie zważał na względy dziecinne,
Gdy mi ktoś chory i wołam doktora,
To wszak nie poto, by mi prawił baśnie,
By dziecko chore zabawką obdarzył.
Tak też, gdy słońce nad narodem gaśnie
Choć dziś gniew ludu losów mi przeważył,
Choć się dziś burza skończyła bez gromu,
Pojutrze chmury te same wiatr zegna
I... biada wtedy pasterzom bez wiary,
Nowym się fałszem burzy nie zażegna
I straszny będzie dzień sądu i kary.

GRABIEC (ze złością).

Idź, im to powiedz, niechaj się dowiedzą,
Że jutro bunty mogą zacząć nowe.
Niechaj się gryzą, nas podstępnie śledzą,
Lecz nie krew braci padnie na twą głowę

STAROSTA.

Młodziście obaj. Krew macie gorącą.
Ja się bynajmniej nie mam za lekarza,
W leki nie wierzę, lecz gdy inni mącą
Ja bronię zawsze porządku ołtarza.

MŁODY MĘŻCZYZNA.

Fałszem go bronisz, błąd siejesz i mroki.
Kto w nic nie wierząc, wiary uczy ludzi,
Ten sam na siebie okrutne wyroki
Ściąga i kiedy lud się wreszcie zbudzi
Za te usługi dobrze wam zapłaci.

Na scenę wchodzą nowi ludzie. Grabiec spostrzega ich i chce przerwać sprzeczkę.

GRABIEC.

Dość tych pogróżek. Uszy od nich bolą
I czas się tylko niepotrzebnie traci.
Dziś niech się wszystkie wysiłki zespolą,
By ład utrzymać. A zatym do rzeczy:
Starosta słuszne przedstawił dowody,
Zresztą to moim zamiarom nie przeczy....

NIEWIDOMY.

Ja moje zdanie w jednym streszczę słowie.
Po co budować przeznaczeniom tamy?
Los nas, gdzie zechce, zawsze poprowadzi
A cel i droga znajdą się po drodze.....

II. WYROSTEK.

Los wszystkim rządzi, jednak nie zawadzi
Starać się ująć przeznaczenia wodze
I według własnych skierować je chęci.
Patrzcie, tu ręka natchnieniem wiedziona
Krzyż obaliła, niech nasz znój uświęci
Tę drogę teraz, gdy krzyżów zasłona
Jej nam nie broni—więc droga otwarta
W krainę światła, rozkwitu, swobody.

CZARNY (z zaciekłością).

Znam was bluźniercy, bez Boga, bez domu,
Znam wasze niskie, kłamliwe wywody
I brak mi dla was słów hańby i sromu.
Na zgubę idźcie, gdzie chcecie, szaleńcy
By-ście wśród zdrowych nie sieli zarazy,
Wysłańcy piekieł, moc szatańskich jeńcy,
Od zwierząt gorsi, wstrętniejsi niż płazy.

do Grabca.

Jeśli iść chcecie, to pod krzyża znakiem.
By klątwy niebios nie ściągać na siebie

GARBUS (z ironją).

Jabym najchętniej poszedł równym szlakiem,
Gdzie droga gładka, las i zdrój w potrzebie
Gasi pragnienie, spocząć daje w cieniu,
Ani się stopy ranią na kamieniu,
Gdzie ciągle naprzód można iść bez strachu,
Że się niedźwiedzia napotka, lub wilka.

INNY.

A toś im prawdę rzekł nareszcie, bracie,
Boby radzili tak przez wieków kilka,
Zamiast ich pytać: czy wy drogi znacie?

GRABIEC (zakłopotany).

Nie, ja ich nie znam

INNY.

Jam także tu obcy.

STAROSTA.

Ktoby mógł wszystkie drogi znać na świecie.

GRABIEC (do swoich),

Może z was który zna te drogi, chłopcy?

III. WYROSTEK.

Skąd byśmy znali, gdy wy ich nie znacie

I. WYROSTEK.

Tu za krzyżami leży głupi w rowie.
On, co się ciągle po tych stronach włóczy,
Może nam o nich coś nie coś opowie
I, którą wybrać, poradzi, nauczy.

GRABIEC (do I-go wyrostka).

Dajcie go tutaj! (dwuch wyrostków idzie po niego).

I. WYROSTEK.

Jak umarły leży.

GRABIEC.

To go wyciągnąć za ręce i nogi.

Wyciągają głupiego, który się opiera i ze strachem spogląda po ludziach; po chwili wraca mu na twarz zwykły uśmiech; podchodzi do kogoś w najbliżej stojących, zagląda mu w oczy, innego głaszcze po baranim kożuchu, potym odsuwa się nabok i zaczyna biegać w kółko, przeskakując jak poprzednio bokiem z nogi na nogę.

GRABIEC.

Dajcie mu pokój, niechaj się uśmierzy.
(Po chwili). Powiedz mi, chłopcze, jakie tu są drogi?

GŁUPI (staje rozgląda się dokoła, podchodzi do Grabca, przygląda mu się uważnie i jakby uspokojony zaczyna mówić:

Kiedyś chadzali ludzie po tych drogach;
Tu krzyż pozostał, dalej resztki mostu.
Trochę z nich błota wynieśl na nogach
Krwią zapłacili za nie krzakom ostu.
I ścieżki widać wynaleźli inne,
Albo się może skupili gdzieś w miastach,
Hodują kwiatki i łodygi winne,
A droga chwastem spokojnie zarasta.
(Wskazuje na lewo). Tę całkiem ostre porosły jałowce;
Wśród bagien sterczą trzy olbrzymie głazy,
Na których ludzie piekli bogom owce.
(Wskazuje przed siebie). Tędy szli ludzie w rok wielkiej zarazy.
Bo łąki kośćmi zasłane jak brukiem,
Wśród trawy czaszki bieleją łysiną;
Nocą tu często walczy hjena z krukiem
I owad brzęczy nad zeschłą padliną.
(Wskazuje na prawo tam gdzie krzyż zwalony),
A tu się kiedyś srebrzyły winnice,
Zielone bluszcze darły się na skały,
Lecz często tędy płyną nawałnice
I srogie wichry ludzi ze skał zwiały.

(Dokoła zaczynają się śmiać, kiwać głowami i, pokazując na czoło, dają sobie znaki, że jes to obłąkany.

I. Z TŁUMU.

Jak warjat mówi, albo jak pijany.

II. Z TŁUMU.

Deszcz mu widocznie mózg rozmiękczył wodą.

III. Z TŁUMU.

Et, gdyby kijem przyprzeć go do ściany...

GRAAIEC (spokojnie do głupiego).

Teraz nam powiedzą, gdzie te drogi wiodą.

GŁUPI.

A tak po polach wiją się i plączą,
Każda się zdaje wieść na świata kraniec,
Lecz tam, pod górą znów się wszystkie łączą.
Ci, co tu zmarli, wznosili wciąż szańce
Kopali rowy, by jedną od drugiej
Odciąć i własne uświetnić ołtarze,
Lecz po ich grobach przeszły czasu pługi,
Zmieniając drogi w przeszłości ołtarze.

STAROSTA (ze złością).

Et, wiecie, ludzie, dość już tych andronów!
Jeszcze nam powie, że ziemi skorupa...

NIEWIDOMY (jak echo).

To zlepek z kajdan i z ułamków tronów,
Z śliny bluźniercy, z krwi lub próchna trupa!

(Wszyscy zwracają się w stronę Niewidomego; czuć zamięszanie i lęk. Noc szybko odtąd zapada.)

STAROSTA.

Kto mówi? Milczeć!!

GRABIEC.

Kto to?

KOBIETA.

Noc ciemna.....

GRABIEC (przyjmuje te słowa za odpowiedź).

Kto? Kto? Noc mówi? Gdzie się podział Głupi?
Czy to on żarty sroi sobie ze mną?

NIEWIDOMY (jak wyżej).

Przebóg, od dróg tych zapach wieje trupi,
Otom przewidział, ale nic prócz mroków
Oko nie widzi. Gdzie słońce? Zorza?
Słońce zagasło wśród szarych obłoków,
Runęło z sykiem upadło do morza.
I woda z brzegów występuje groźna,
Szaleje, huczy! stój, stój twoje fale
Ujarzmi zima, pani siwa, groźna ..
Ciemno. Tak ciemno, że słów się mych lękam!
Więc słońce jutro nie wzejdzie jak zawsze...
Pierwszy nad wielkim grobem słońca klękam...
Jutro się boje zaczną gorsze, krwawsze!
Bo słońce krwi już nie wypije z ziemi.
Kto wrogom ujdzie, ten we krwi utonie,
W krwi się ostatni zwycięzca utopi.

GRABIEC (zalękniony).

Kto to? Szukajcie! Ludzie, czyście niemi?

NIEWIDOMY.

Rozpaczy pełen chwytam się za skronie:
Niema przed nami do zbawienia drogi!
Ci, co tu zmarli, w mękach, w bólu zmarli.
Jak my wierzyli, że wnet szczęścia progi
Przestąpią dumni i naprzód się darli,
I pozostały po nich tylko groby...
Pierzchają złudy, gmach wierzeń sie chwieje
Otom przewidział w dzień straszny żałoby,
Gdy słońce zgasło, spłonęły nadzieje!

MŁODY MĘŻCZYZNA.

On prawdę mówi — Gaśnie złote słońce!
Każda piędź ziemi to straszna mogiła.
Lecz czym jest życie? Wy, życia obrońce!?
Życie to straszne, wroga ludziom siła.
Okrutnie drwiąca sobie z panów świata,
Bożek z męczarni człowieka zrodzony,
Krwiożerczy wampir, chimera skrzydlata,
Co krew wysysa i po trupa szpony
Wyciąga jeszcze, by nowych przetworów
Ani na chwilę nie powstrzymać biegu.
Lecz my, co złudnych szukamy pozorów,
Płynąc po fali, wołamy: do brzegu!
My w glupiej dumy wychowani błędzie,
Chcemy dróg szukać wśród prądów tysiąca...
Stójcie, i bez was w swe tryby was wprzędzie
Stuleci życia moc tryumfująca.

I. WYROSTEK (w zamyśleniu).

Masz może rację, życie śmierci służy.
W kolei przemian jest rytm niewzruszony.
Którego żadna moc ludzka nie zburzy.

I. Z TŁUMU.

Lecz któż z tych przemian zbierze wreszcie plony?

I. WYROSTEK.

Tego myśl nasza objąć nie jest w stanie,
Żyjemy w złudzie, siłą złud przesądu,
Choć może ludzkość w tej ciągłej przemianie
Jak wszystko tutaj dąży do uwiądu.
Szli inni tędy, my chodźmy ich śladem.
Tamci pomarli i nas śmierć wyzwoli,
Aż wreszcie kiedyś strawiony rozkładem
Świat w nicość runie, noc się z dniem zespoli.

Chwila ciszy i przygnębienia.

II. Z TŁUMU (odzywa się wreszcie).

Ech, dajcie pokój. Pot mnie zimny zlewa,
Gdy o tym myślę. Lepiej nic nie wiedzieć.

GRABIEC (podchwytuje).

Zwyczajnie, ciemność źle na ludzi działa.
Mary ich jakieś męczą i z widzenia,
Słońce im zgasło, grobem ziemia cała.
Jutro własnego bać się będą cienia.
Dajmy im spokój. Sen ich uspokoi.
My chodźmy pierwej zdobyć sobie łoże.
Więc niech z was każdy siły teraz zdwoi
I naprzód, bracia, naprzód w imię Boże.

Pociąga ze sobą najbliżej stojących i odchodzi. Niektórzy stoją w niezdecydowaniu, inni zbierają się, by iść za nim.

I. WYROSTEK (zabiega drogę Grabcowi).

Dlaczego tędy, czyliż nie wygodniej
Iść prostą drogą? Wszak pod twoją wodzą.....

GRABIEC.

Przestań już, ludzie zmęczeni i głodni,
Zresztą te drogi pod górą się schodzą.

I. WYROSTEK (z błaganiem).

Więc mi choć powiedz, gdzie cel tej tułaczki
Powiedz, niech serce nadzieją ochłodzę.

GRABIEC (ostro).

O nic nie pytaj, ciągnij swoje taczki,
A cel i droga znajdą się po drodze.

Wszyscy wychodzą: jedni z wahaniem, inni z rezygnacją, jedni na lewo, inni na prawo, by gdzieś, kiedyś znów się spotkać.....

KONIEC.

Stanisław Wyspiański jako malarz.

W. Trojanowski.

Nie miał on sposobności zastosowania „swej" tonacji; zresztą przekonał by się w praktyce, że co innego jest tonacja niewielkiego ptaka. a co innego olbrzymich ścian z przytłumionym oświetleniem.

Licząc na polichromję kościoła Bieczu, Wyspiański z żywą swą fantazją tworzył już różne projekty. W liście do Rydla pisze w lutym 1896 r:

„Będzie to niby skromny i prosty plan, a pod tym pozorem bogaty ornamentacją. Myślę, że mi się uda może przemycnąć go w całości; dopiero miałbym „lust" w malowaniu. Zrobiła się rzecz ogromna z tego planu. Teraz dopiero ciekawa i niepewna będzie walka.

„mój Boże, a jaki też to styl jest"?

„Proszę Cię, w jakim też stylu są malwy lub trzewicki M. Boskiej.—Jakże mnie to cieszy, że nie potrzebuję sobie żadnej fatygi zadawać. Potrzebuję tylko wziąć do ręki roślinę, obejrzeć, rozpatrzeć i zrozumieć, jak rośnie i już mam jej styl i, patrząc wciąż inaczej, coraz lepiej mogę ją układać".

„Ale tu walka będzie, bo on sobie za zadanie położył fantazję mi hamować i nie będzie na nic zważał, tylko gotów się sprzeczać o najlepsze perly z pomysłu.

Nie chcę przesądzać dalej, ale boję się".

W liście z kwietnia 1896 r.

„Biecz się psuje, prawie że przepada, bo stanowczo obstaje za książką i żąda odemnie, abym, wyzbywszy się „naturalizmu"(!) wziął dziela takie i owakie i zrobił kompilacje".

Jakież to smutne daje świadectwo o wiedzy, oryginalności i poczuciu piękna u naszych architektów. Opierając całą swą wiedzę na dziełach już istniejących, uznanych lecz przeżytych, przyzwyczajeni tylko do kompilacji a nie do twórczości, nie mogli pojąć „naturalizmów", Wyspiańskiego, jak to błędnie określali i żądali od niego także płytkiego naśladownictwa.

A szkoda wielka, że kościół w Bieczu nie został przez Wyspiańskiego pokryty polichromją, gdyż w niej chciał on rozwinąć jeszcze większe bogactwo kwiecia niż u Franciszkanów.

Wyspiański marzył, iż, zarobiwszy trochę grosza na polichromji franciszkańskiej, będzie mógł wyjechać za granicę, odświeżyć umysł, wypocząć, Pociągała go wówczas do siebie urocza, umajona Florencja.

Niestety, nie sądzone mu było opuścić Kraków.

W liście do Rydla z d. 7 lutego 96 r. pisze: „Dziękuje ci za twój list, bo mi był potrzebny i pokrzepił mnie nadal, zaś z moją Florencją bieda, bo mi Ojcowie Franciszkanie wypłacić reszty nie chcą i nie mam środków nie tylko na wyjazd, ale w ogóle niewiele mam obecnie i nie wiem, jak to będzie, gdyż, o ile mogłem w Paryżu stać i istnieć czas długi kredytem, to w Krakowie kredytu nie mam i nie znajdę go".

Mając jednak nadzieję otrzymania roboty w Bieczu, znów projektuje wyjazd zagranicę, bo już 25 tegoż Lutego donosi Rydlowi, iż pojedzie, ale teraz nie do Florencji, tylko do Niemiec, zwiedzi Wrocław, Berlin, Magdeburg, Monachjum, Kolonję, Moguncję, Frankfurt, Norymbergę, Regensburg i Wiedeń.

Ta zmiana w ułożeniu nowego projektu podróży w celu obejrzenia miast średniowiecznych, nastąpić musiała pod wpływem przejęcia się dekoracją gotyckiego kościoła w Bieczu...

Tymczasem różowe projekta podróży przepadły, i list z d. 13 maja 1896 pełen jest czarnej rozpaczy. „Z Bieczem sprawa już skończona“.

(Architekt odebrał plany i wszystko się zerwało). „Tymczasem przygotowuję studja z natury i bodaj jakiekolwiek subsydia pieniężnę a wszystko obracam na studja, aby jak najwięcej materjału zebrać przez to lato obecne, poczym w jakim październiku wyjazd do Berlina tam poszukiwać zrealizowania swych planów.

Tutaj ani myślę, abym ja na Krakowskim gruncie znalazł człowieka, co by mnie poparł do moich planów i pomysłów i pracy; to się mi w głowie nie mieści jedno i zdaje się, że w tym dużo jest prawdy, ot prędzej wierzę w twoją Warszawę, [1]) ale to się pokaże”.

Smutek ogarnia przy czytaniu tego listu, a zwłaszcza zdania: poczem w jakiem październiku wyjazd do Berlina i tam poszukiwanie zrealizowania swych planów.

Artysta z bożej łaski, zdolen rozwinąć u nas sztukę monumentalną, nie znajduje możności wykonania swych planów, nie dla tego, by społeczeństwo było biedne i nie mogło opłacać jego trudów, nie, gdyż był gotów pracować za byle co, nieraz za darmo, ale dlatego, że społeczeństwo to jeszcze nie dojrzało, nie zrozumiało jeszcze i nie odczuło potrzeb wyższej sztuki, że dla niego jest zrozumialszą praca rzemieślnicza, partacka i że taka nędzna praca odpowiadała mu, a ci co na czele społeczeństwa stoją, nie posiadają wyrobionego poczucia piękna, że ich sztuka prawdziwa, żywa, oryginalna, śmiała, niepokoi i przeraża. I dla tego stawiali oni Wyspiańskiemu na każdym kroku przeszkody, wyczerpywali jego siły, a drogę jego życia — i tak już ciężką, utrudniali jeszcze bardziej.

Wyspiańskiego życie i prace są jaskrawym przykładem strasznej walki jaką staczać musi każdy wyższy duch z otaczającym go społeczeństwem, niedorosłym do pojmowania wzniosłych dążeń i lotów, a przywykłym do pełzania po nizinach i błotach powszedniości. Ale wróćmy do artysty. Jego zmysł dekoracyjny, pokrewny sztuce średniowiecza, pociągał go wielokrotnie do zajmowania się nią. Zresztą, nie wyszedł on nigdy po za jej granice. Żył i obracał się w średniowieczu. Uwagę jego zwróciły nadzwyczaj cenne i ciekawe resztki witrażów znajdujące się w krużgankach kościoła oo. Dominikanów w Krakowie. Niektóre z tych witrażów pochodzą z XIII stulecia, a więc są najstarszymi dokumentami malarstwa dekoracyjnego u nas. Wyspiański, odczuwając ich znaczenie, charakter i piękno, postanowił zająć się gruntowną ich restauracją. Podjął się pracy nadzwyczaj żmudnej, poważnej, ale nie efektownej; pracy, której znaczenia nikt u nas ocenić nie umiał i spotkał się z najzupełniejszą obojętnością ogółu. Pracą tą czuł się zmęczony i przygnębiony. „Ja pracuje od lat kilku na moją własną niesławę i zagubienie”, pisze do Rydla w lutym w 1896 r. A gdy witraże odrestaurowane wystawił na widok publiczny, nikt się nie zaintesował nimi.—8 maj 1897 r. pisze „Wystawiłem teraz witraże dominikańskie i czy myślisz że się kto znalazł, co by ludzi z nimi zaznajomił. Pierwsza to tego rodzaju w Polsce porządna praca, podczas gdy wszystko co poprzednio w tym kierunku robiono, to były głupstwa”.

Wyspiański pracy swej nadawał wielkie znaczenie i napisał o niej ciekawe i obszerne studjum pod tytułem: „Witraże Dominikańskie“, które opatrzył ilustracjami i zamieścił w II tomie Wydawnictwa Towarzystwa Miłośników Historji i Zabytków Krakowa za rok 1899.

Wielkim nieszczęściem Wyspiańskiego było, że się urodził o kilkaset lat za pózno. Gdyby był przyszedł na świat w epoce średniowiecza lub nawet w krótkim u nas okresie odrodzenia, talent jego znalazłby odpowiednie pole rozwoju i mógłby stworzyć arcydzieła, przewyższające swą artystyczną wartością prace Stwosza, ale w końcu XIX stulecia kogo w Polsce mogły interesować restauracje witrażów, starych potłuczonych szkieł, które nawet dla majstra kunsztu szklarskiego żadnej nie przedstawiałyby wartości! Społeczeństwo nasze takiemi błahostkami zajmować się nie chciało.

W tym czasie udręczeń, zawodów, sprawił wielką przyjemność Wyspiańskiemu list Rydla z Warszawy, z propozycją, aby zechciał wykonać ilustracie do Iliady, której tłomaczeniem Rydel był zajęty.

Wyspiański z radością tę propozycję przyjął i z zapałem zabrał się do tematów tak sobie dobrze znanych, tematów, które mu pozwoliły

[1]) W owym czasie Lucjan Rydel czas dłuższy mieszkał w Warszawie.

wyjść na chwilę ze średniowieczczyzny i wejść w legendarny świat Grecji.

W kwietniu 1896—odpisuje Rydlowi: Kochany Ludku, Z Iliadą dobrze; bardzo chętnie się podejmuję, na czas będę się starał wykończyć. Ogromnie mnie cieszy co w tym kierunku można zrobić nowego, świeżego. Jest to prawie jakby morze, bodaj, żeby choć w setnej części imaginacyjność ująć we formę".

Zabrał się czymprędzej do pracy. Korespondencje z Rydlem w tej kwestji dużo o tym mówią, ma on zamiar ilustrować całą Iliadę. Kompozycje swoje pojmuje jak „metody", które nawet mogłyby być metodami w jakimś „Iliadeonie".

Zanim miała się ukazać przetłomaczona przez Rydla Iliada jako książka z ilustracjami Wyspiańskiego, zgodziła się na ich umieszczenie w „Tygodniku Ilustrowanym, redakcja tego pisma, lecz gdy Wyspiański przesłał kilka gotowych rysunków redakcji, to, nietylko że zwlekała długo z ich umieszczeniem, ale co więcej w tonie protekcyjnym, traktując go jako młodego, niedoświadczonego artystę, robiła mu uwagi i wypowiadała swoją krytykę. Wyspiański był tym, słusznie zupełnie oburzony, i gniewał się szczególniej na kierownika artystycznego tego pisma, również rysownika — ilustratota A. K., pisząc o tym do Rydla i zaznaczając, iż zna swoją wartość i wszelkich uwag sobie wyprasza. Zamiast ilustracji do całej Iliady, wykonał Wyspiański tylko dziewięć kartonów, i te zostały wydane nie z tłomaczeniem Rydla lecz jako ilustracje do pierwszych dwóch pieśni Iliady, przecudnie sparafrazowanych przez Słowackiego.

Wyspiański w tej pracy dowiódł w sposób wysoce oryginalny swojego talentu ilustratorskiego nie tylko w samym ujęciu scen, osób, kostjumów, ale i w wykonaniu. Kompozycje te są pojęte dekoracyjnie, dominuje w nich linja i kontur, relief figur czy sprzętów jest zaledwie zaznaczony, plamy ciemne lub czarne służą do podniesienia efektu ogólnego, lub pewnych szczegółów. Formy są stylizowane; zwrócona w nich uwaga jedynie na cechy charaktery styczne.

Wyspiański, komponując te sceny, trzymał się w granicach form i linji, jakie widzimy na rysunkach waz archaicznych greckich, modernizował je jednak. Postacie jego posiadają dużo cech charakterystycznych z owej jeszcze bardzo barbarzyńskiej epoki. Giesty, wyraz twarzy, uczucia, które nimi miotają są jeszcze proste, nieskomplikowane, kanciaste i twarde.

W pierwszym kartonie „G n i e w P e l i d ę p o n o s i", spotykamy się ze świetnie po grecku obmyślaną sceną. Na tle fal morskich narysowanych linjami z lekka falistemi, widzimy straszną postać kobiecą z włosami rozwianymi, z obrożą na szyi ze skłębionych wężów i żmij. Ta straszniejsza od Gorgony postać, unosi przed siebie silnie zbudowanego, ale mniejszego od siebie Achilla, uzbrojonego w miecz i tarczę. Szczegół ciekawy i psychologicznie prawdziwy Achill nie patrzy przed siebie, lecz ma twarz w dół, na ziemię zwróconą. O n w i ę c n i e w i d z i d o k ą d g o g n i e w p o n o s i. W głębi, jakby wynurzająca się z fal morskich „Renoma" spogląda na scenę i bada, co z niej wyniknie.

Kompozycja druga, to „Hermes wiedzie dusze bohaterów do głębin Hadesu". Po nad czarnymi, stojącymi wodami Styksu, unoszą się w niezwykle oryginalnych ruchach, cienie wojowników zabitych przy oblężeniu Troi. Postacie te płyną nisko po nad czarną wodą, zaledwie odbijającą ich jasne ciała. Hermes cały osłonięty płaszczem, unosi się w głębi po nad nimi. Te chude, wysmukłe ciała poprzebijane włóczniami, tak cicho, bez żadnego unoszące się szelestu, robią potężne wrażenie.

Na trzecim rysunku widzimy jak „Apollo razi grotami pomoru". Młody, pięknie zbudowany meżczyzna o rysach klasycznych Feba, wypuszcza ze zgiętych palców strzałę, która w greckich rycerzy trafia jako zaraza.

Ruch figury jest energiczny i świetny. Głowa otoczona wspaniałą aureolą, ma dużo wyrazu spokoju, lubo rozwarte nozdrza zdradzają gniew boga. Wyspiański w tej figurze wykazał głęboką znajomość ciała ludzkiego i wielką energję w doskonale wykończonym rysunku formy, młodego, ale silnego ciała.

(d. c. n.)

Z piśmiennictwa.

Walenty Zieliński. „Królewskim Szlakiem“. Poezje. Warszawa. Gebethner i i Wolff. Kraków. Gebethner i Spółka. Rok 1911.

Zieliński należy do talentów, których właściwości trudno określić, gdyż ukazują one się w różnych przejawach. Niemniej przeto odczuwa się odrazu ten talent, samodzielny, niewzorowany na nikim, talent marzyciela, (zdolnego jednak „zwalać strop nieba złoty”...) oprawny w przepyszną formę i czarnoksiężką fantazję. Atawizm przemówił silnie. Nie przyniósł ujmy dziadowi, niezapomnianemu „piewcy Kirgiza”, wnuk młodociany.

Nie będę poruszał wszystkich odcieni twórczości Zielińskiego, ani zastanawiał się nad wartościami jego dramatów, Satyr i Krytyk. Pominę nawet śliczny poemat „Czarodziejskie wiano”, wydany zeszłego roku, pragnąłbym tylko uczynić kilka uwag o nowej jego pracy — zbiorze poezji, p. t. „Królewskim Szlakiem”. Czytając tę książkę, przeżywałem tyle wrażeń, że nie wiem, czy wyczerpującą będzie ocena.

Autor podzielił swój zbiorek na kilka działów, segregując w ten sposób nastroje poszczególnych liryk. Pierwsza grupa utworów, podbija odrazu czytelnika. Płyną z niej mocne, gorące słowa, by z dębu i stali kowane, huczy i bucha ogniste pragnienie młodości. Więc mówi poeta:

Puście mnie!... Serce szarpiecie daremnie — —
Pochodnię wezmę i rozjaśnię ciemnie, —
Ponad serc mroki, ponad wszystkie moce
Wzniosę — i zorzą pozapalam noce!

Jest w tym naprawdę siła, jest żywiołowa potęga, pozbawiona nieszczerej doktryny, pławiącej się w chaosie pustych frazesów. Królewskim szlakiem prowadzi nas pieśniarz dalej i cieszy się gdy mówi:

Tryumfu czas! — Złociste wstają zorze,
A szary pył — przenikło jutrzni tchnienie,
I w sercach, skra płomieniem jasnym gorze —
Co długi wiek zaklęty był w — kamienie.

W Zielińskim płonie odwieczna tęsknota do lepszego jutra, do szczęścia i słońca. Niemal każdy jego utwór, to niezłomna chęć wyzwolenia. Wierzy w to i ufa jak w prawdę ewangieliczną. Rozświeca horyzonty anhellicznym blaskiem i zapatrzony w nie żyje nadzieją. Kocha słońce, kocha przyrodę, bo czuje w niej potęgę, wielką macierzystą siłę, kocha noc i pioruny. Wtedy właśnie pisze takie rzeczy, jak „O słońce”, „W tę noc”, „Jaśnieje duch”, wtedy łamie się sam z sobą w melancholijnym cyklu „Pytasz?...” A gdy czasem przyjdzie chwila zwątpienia, gdy okowy ziemskie, by węże Laokona mocniej wżerają się w ciało, następuje zgrzyt i mówi wówczas poeta:

Szlak kwieciem słany...
Kończy się ma droga — —
Sto wieżyc w niebo strzela aż do słońca!
Widzę próg złoty — stanąłem u proga — —
Lecę... nie stanąłem u podróży końca.

Lubię cykl „Płomiennym śladem”, bo erotyki Zielińskiego przy niezwykłym bogactwie formy, goreją tak ognistą lawą, że pali ona i zarazem odurza zapachem róż i kadzideł. „Przeklęte okna” i „Na chwilę”, te dwa z nich najpiękniejsze zostawiają niezatarte wrażenie. Ciche, miłosne zjawy..... Kto czytał pierwszą pracę młodego poety, ów prześwietlony boskiem pragnieniem szczęścia poemat „Czarodziejskie wiano“, ten wie, ile ukochania śni w jego strofach. Zieliński stroi swe liryki w cudne barwy, że nawet może za bogate, może nadto wszystko widzi słoneczne, promienne i złociste, ale przecież w tę baśń określeń zaklina coś,... — młodzieńczy szał, młodzieńczą tęsknotę i miłość, zaklina talent.....

Niech więc idzie nadal „Królewskim szlakiem”, niech mocnym głosem budzi „Rycerską krew“ i sennie wraca „Z dzwonów melodją“, piastując iskrę twórczą w piersiach gdy śpiewa:

Korona skrząca, krwią rubinów płonie
I brylantami — co dzierzgane z zorzy,
A boskie palce maszczą moje skronie —
A dłoń koronę na mą głowę łoży.

St. J. Kozłowski.

Panu A. Niemojewskiemu.

Antoni Szech.

Przeciwko gołosłownemu, żadnemi dowodami nie popartemu, a w najwyższym stopuiu krzywdzącemu oskarżeniu, które rzuciła „Myśl Niepodległa“ na żydów, zgrupowanych w S. Dem., o rozmyślne w dobie rewolucyjnej pogromy ludności polskiej — uważałem za obowiązek obywatelski zaprotestować publicznie— w imię sumienia narodowego, w imię godności prasy naszej, w imię honoru sztandaru wolnej myśli polskiej.

Jedyną odpowiedzią ze strony redakcji Myśli Niepodległej na mój protest byłoby udowodnienie rzuconego oskarżenia—byłoby stwierdzenie faktami, że oskarżenie nie było gołosłownym i że nie zasługuje na miano „ohydnej potwarzy”.

P. Niem. nie uczynił tego, dowodów na poparcie swych twierdzeń nie podał żadnych, boć za dowód służyć wszak nie może list jakiegoś p. Frankiewicza, list zresztą pisany post factum, po ogłoszeniu „kategorycznego twierdzenia“ p. Unszlichta.

Tym samym potwierdził p. Niem., że miałem prawo oskarżenie nazwać „potwarzą”.

Natomiast odpowiedź moją z kwestji ogólnych przeniósł na grunt osobisty i wystąpił przeciwko mnie z szeregiem nieuczciwych zarzutów.

Uważałbym sobie za ujmę dać się sprowokować do burdy polemicznej lub tłumaczyć się z nędznych plotek, które przeciwko mnie zbierać nie wstydził się p. Niem.

Nie uważam też za właściwe zajmować publiczność moją osobą, zostawiając to i na przyszłość moim „serdecznym” — Jeleńskim, Niedziałkowskim, Niemojewskim.

To też odpowiadać p. Niem. nie będę, jak nie odpowiadałem na podobne w tonie napaści katolickie.

O szczerości przekonań moich niech świadczy całe postępowanie moje i każde słowo pism moich.

Niech świadczy i to właśnie, z czego uczynić mi chce zarzut p. N., że miałem odwagę — ja eks-kapucyn, z niedowierzaniem przyjęty przez obóz postępowy — wystąpić przeciw objawom wolnomyślnej nietolerancji, jak występowałem przeciw fanatyzmowi katolickiemu i przeciwko delatorstwu, choćby w dobrym celu, które nieświadomie zapewne popełniła autorka „Tajnych zakonów”.

Ale nie o to idzie.

Niech myśli o mnie i pisze p. Niem. jak chce, niech inni mnie sądzą, jak potrafią.

To kwestji nie zmienia, o którą mnie chodziło.

Czy jestem takim czy innym — niegodziwa potwarz, której dopuścił się p. Niem. — nie przestaje przez to być potwarzą.

Gniew p. N. na mnie za to, że śmiałem napiętnować niegodny czyn jego — czynu tego uie uszlachetni.

z brudnego nie uczyni czystym.

ani cienia, który tym wystąpieniem swoim rzucił na działalność swoją w oczach żyjących i potomnych — nie zetrze.

Z prośbą o umieszczenie nadesłano nam następujący list adresowany do p. A. Szecha. List ten w imię bezstronności drukujemy, nadmieniając, iż nad osobistością i czynami p. Unszlichta wogóle nie bylibyśmy się zastanawiali, gdyż ani on, ani jego słowa obchodzić nas nie mogą. Jeśli zaś podnieśliśmy tą sprawę, to jeno chcąc napiętnować metody walki „Myśli Niepodległej”, która dla zaszachowania, przeciwnika posługuje się wszelką bronią i pierwszą lepszą jednostką.

„Szanowny Panie”.

Z powodu ustawicznych napaści na mnie wywołanych przez mój artykuł w „Myśli Niepodległej” p. t. „Pogromy i pogromcy”—aby położyć kres tym napaściom i udowodnić słuszność zawartych w tym artykule twierdzeń postanowiłem dobrowolnie oddać się pod sąd obywatel-

ski i zwróciłem się do ob. Hieronimki z prośbą, aby zajął się organizacją tego sądu.

Zważywszy na olbrzymią doniosłość sprawy, która ma się toczyć przed sądem, postawiłem jako warunek nieodzowny, aby w skład sądu weszły osoby ogólnie znane i poważane. To tylko zapewni temu sądowi należytą powagę i bezstronność i uczyni wyrok jego miarodajnym dla całego społeczeństwa polskiego.

Ponieważ zaś Pan najostrzej wystąpił przeciwko mnie i uczynił mi publicznie szereg niezmiernie ciężkich zarzutów, więc zwracam się do Pana z uprzejmą prośbą, aby Pan zechciał podjąć się roli oskarżyciela mego na sądzie.

Śmiem liczyć na Pańską przychylną odpowiedź i łączę wyrazy głębokiego poważania.

Paryż 19/XI 1910 r. *Juljan Unszlicht.*

Bibliografja.

Marion. Uczciwa kobieta. Warszawa, Gebethner i Wolff 1911.
Wł. H. Reymont. Nauczyciel. Szkic powieściowy. Warszawa, Gebethner i Wolff 1911.
„ Z ziemi Chełmskiej. Wrażenia i notatki. Warszawa,
Leonidas Andrejew. Gubernator. Chrześcijanie. Kłamstwo. Tłomaezenie z oryginału B. Podlewski. Kraków, Gebethner i S-ka r. 1907.
Jan Lemański. Noc Dzień. Gebethner i Wolff Warszawa, 1911 r.
Jerzy Żuławski. Zwycięzca. Powieść. Warszawa, Gebethner i Wolff. 1911.
„ Kuszenie Szatana. Opowiadanie. Warszawa, Gebethner i Wolff 1910.
Eugenia Żmijewska. Z pamiętnika niedoszłej literatki. Nowele i obrazki. Warszawa, Gebethner i Wolff 1910.
Kazimierz Gliński. Kniahini Anna. Powieść ukraiska z pierwszeJ połowy XVIII wieku.
Wiktor Gomulicki. Car widmo. Powieść. Warszawa, Gebethner i Wolff. 1911.
Anna Sokołowska. Korowód. Warszawa 1910. G. Centnerszwer i S-ka.
Bronisława Bobrowska Jak powstały religje? Nakład wydawnictwa „Życie“ Kraków 1910.
Leon Choromański. Zuzanna 1911. Warszawa G. Centnerszwer i S-ka Lwów H. Altenberg.
Zygmunt Kramsztyk. Bohaterowie Pana Tadeusza. Warszawa 1910.
Zofja Rogoszówna. Pisklęta. Nowele. Spółka nakładowa „Książka“ Kraków. Warszawa G. Centnerszwer i S-ka.

Jak ja to widzę.

Poor Yorick.

— Farmokologja owczarska czyli ksiądz socjologiem. Choć dni panowania kleru nad młodzieżą minęły już bezpowrotnie, nasze prawomyślne ciała profesorskie w Galicji pogodzić się z tym nie chcą. Chyłkiem, nieśmiało lecz nieustannie narzucić usiłują one pasterzy duchownych, którzy by zbłąkane owieczki studenckie na drogi cnoty nawracali. A czynią to w sposób wysoce oryginalny: na katedry nauk zgoła świeckich i z religją nic wspólnego nie mających mianują księży ci zaś sui generis profesorowie przekuwają naukę na oręż wiary bronić mający.

Oto ostatnio profesorem socjologji na wszechnicy krakowskiej mianowano ks. Kazimierza Zimermana, który natychmiast przechrzcił socjologję na chrześcijańsko-społeczną.

Oczywiście młodzieży podobna „nauka“ w smak iść nie mogła, to też pierwszy wykład ks. Zimmermana stał się powodem zajść, które prasa przedstdwiła odpowiednio do swego zabarwienia.

Ze szpalt kurjerków posypały się jak zwykle gromy przeciw „gwałcącym wolność nauki“, kłamliwe opisy demonstracji i gromkie frazesy o tolerancji względem zagrożonych wierzeń.

A no papier jest cierpliwy, a hasła bezbronne to też każdy i w każdej potrzebie uciec się do nich może.

W sprawie tej otrzymaliśmy od Sekcji akademickiej Tow. Etycznego w Krakowie dwie odezwy, z których pierwsza w objektywny sposób podaje przebieg zajścia na pierwszym wykładzie ks. Zimmermana, opisuje niszczycielskie wybryki obrońców wiary, którzy w auli Uniwersyteckiej połamali ławki i stoły; druga będzie już odpowiedzią na znaną decyzję senatu akademickiego protestuje, brzmi jak następuje:

— Ukaz Senatu. Po jednodniowej tajemnicy ogłosił senat uniwersytecki wczoraj swe orzeczenie.

Nie dojrzał winy własnej — natomiast przez powiększające okulary wieku i kcteryjności spojrzał na rzekomą winę młodzieży.

Gdyby protektor Łazarski, pod tem orzeczeniem podpisany, dziś usłyszał, iż gdzieś, na jakimś uniwersytecie — powiedzmy w Abderze—gdyż nie chcemy żadnego z istniejących uniwersytetów poniżać takiem przypuszczeniem, otwarto katedrę farmakologii ale nie naukowej, jeno owczarskiej i że do tej fuszerki powołano człowieka odpowiedniego pokroju, żachnąłby się z oburzenia! Nazwałby to błazeństwem, kompromitacją naukowego stanowiska owego uniwersytetu.

A przecież farmakologja owczarska jest godnym p e n d a n t do socjologji chrześcijańsko społecznej. W jej nazwie brzmi analogiczne zboczenie od prostej—bez wybiegów—drogi wiedzy.

To przykład nieco drastyczny — powiedzą nam. Czyliż?.. Ale, gdyby nawet był drastyczny, to snadź zewnętrzna powłoka naszego ciała profesorskiego jest zbyt mało wrażliwa na drastyczność mniejszą, gdy tamtej nieodczuła, więc zarumienić się może dopiero od drastyczności bardziej skoncentrowanej.

Powtarzamy z naciskiem: gdzie rzecz nie różni się substancją samą. a jest nią fuszerka, tam, biorąc pod swe skrzydła, dopuszczono się bezwarunkowo k o m p r o m i t a c j i, t a m d o p u s z c z o n o s i ę l e k c e w a ż e n i a p o w a g i u n i w e r s y t e t u, tam dopuszczono się s p r o f a n o w a n i a j e g o w i e l o w i e k o w y c h z a s ł u g.

Nie spierajmy się tedy po kramarsku o ilość tych uchybień. Stwierdzamy tu tylko ich istnienie, więc winę senatu, który na takie z a n i e c z y s z c z e n i e p r o g r a m u n a u k u n i w e r s y t e c k i c h s i ę z g o d z i ł.

I jeżeli senat chce dzisiaj utrzymywać, iż nigdy młodzież nie dopuściła się podobnego „ekscesu" jak obecnie to my twierdzimy, że nigdy senat tak powagi nauki w murach Alme Matris po macoszemu nie potraktował, takiego sromu na nią nie sprowadził.

Nepotycznie, koteryjnie postępował aż nadto często, lecz dzierżyciel kluczy wszechnicy, nie wpuszczał do niej dotąd f a ł s z e r s k i e g o h u m b u g u.

Więc, jeżeli nawet była jednaką wina stron obu senatu i młodzieży, to stokroć większą była przecież wina pierwsza—wina ludzi starszych i szafarzy wina, ludzi, którym rozwaga przyświecać powinna — od winy krewkiej młodzieży.

T y s i ą c k r o ć g o r z e j p o s t ą p i l i c i c o n a z i m n o „p o d e p t a l i g o d n o ś ć n a u k i p o d s t a w ę b y t u u n i w e r s y t e t ó w", a d z i ś u m y w a j ą r ę c e — i w z y w a j ą s ą d ó w p a ń s t w o w y c h. Ci nauczyciele, ci „opiekuni" młodzieży w o ł a j ą o k r y m i n a ł d l a n i e j ! Chyba to rzecz niesłychana w kronikach uniwersyteckich.

Przystawmy jeszcze zwierciadło do tych oblicz: Gdy protegowana przez senat lwowski młodzież wszechpolska obrzuciła brutalnie jajami w murach uniwersytetu namiestnika Bobrzyńskiego, senat ten o sądzie nie pomyślał!

Ale tu nasrożone, oblicza drakońskie — bo tu o młodzież nieforytowaną chodzi!

I po tym wszystkiem jeszcze z namaszczeniem głoszą

„Czem stanie się uniwersytet, jakich będzie kształcił i wydawał ludzi, jeśli przestanie w nim rządzić poszanowanie dla prawdy naukowej, a wolno będzie uczyć i uczyć się tylko według programu jednego czy drugiego stronnictwa?"

Tako rzekli ci, co wynaleźli socjologję... „chrześcijańsko-społeczną.

— **Plus catholique que le pape**. Jak donoszą pisma dyrektor policji w Berlinie zabronił występów chóru spiewaczego, który miał wykonać pieśni skazańców syberyjskich. Zakaz ten umotywowano względami obyczajności publiczności, a w szczególe obawa urażenia „sąsiednich instytucji rządowych".

Zauważyć należy, iż te same pieśni bez żadnych przeszkód wykonano w Warszawie oraz w miastach rosyjskich przyczem nie obrażały one w niczem instytucji rządowych rosyjskich.

Dopiero urzędnik niemiecki ujął się za swymi kolegami z ościennego państwa.

Zaiste p l u s c a t h o l i q u e q u e l e p a p e!

— **Popularni „przedstawiciele."** Nieproszeni przez nikogo zjechali do Warszawy rosyjscy posłowie—nacjonaliści. Oczywiście ogół polski w przyjęciu „drogich gości" udziału żadnego nie brał, sądzono jednak, że t. zw. mniejszość rosyjska okaże się lepiej usposobioną. Tymczasem okazuje się że i ona bez najmniejszej życzliwości traktuje swych nieproszonych dobrodziei. Oto np. w „Warszawskiem słowie" studenci weterynarji w ostry sposób zaprotestowali przeciw pogłoskom, jakoby któryś ze studentów w przyjęciu posłów brał udział, i nazywają podobne przypuszczenie „insynuacją"

QUO VADIS?

Członkom P. Z. P.

Dokąd pędzicie żeglarze bez steru,
Swojscy pogromcy „radykalnych kresów",
Bez czynów zgoła, z myślą równą zeru,
Próżni programu, a pełni frazesów?
Dziś asemici, jutro ultra-filo,

Drwicie z krytyki dojrzałej opinji,
Pogląd zmieniacie, z każdym dniem, lub [chwilą,

Quo vadunt domini?

Dokąd podążasz, rolniczy prezesie,
Czcicielu „Prawdy” i... kapłańskiej
kiecki?
Dziś do Andrzeja dusza twoja rwie się,
A jutro wołasz: vivat Zdzitowiecki.
Próżno się bronisz, człeku bez busoli,
I na rolników własną zwalasz winę,
Rolnictwo wszak nie pochodzi od
„Roli”,
Quo vadis domine?

A ten niedawno haniebnie „wylany“
Za śmiałe zdanie — mistrz solidaryzmu?
Dziś znowu w „Prawdzie” oblizuje rany,
Sam pod kieł włazi, który duszę gryzł mu.
Choć jestto szczytem chrześciańskiej po-
[kory,
Gdy mnich całuje swego Ugolinę,
Inaczej zwie się — do lizania skory,
Quo vadis domine?

I ty „rumaku”... na baty nieczuły,
Zostałeś w „związku” pełnym smutnej
[chwały,
Choć jego męże ci pod artykuły
Kazali kreślić tylko inicjały?
Cierpiąc na próżną słabość do rządzenia,
Zmieniłeś duszę swą na lepką glinę,
W sprawie Andrzeja pisząc „wyjaśnienia”,
Quo vadis domine?!

I ty na.. dobna, co mkniesz, gdzie wiatr
[wieje,
Ty, coś jest zawsze czyimś cieniem, echem,
Choć cię wylano stokroć... za ideje,
Znów organ „Związku” obdarzasz uśmie-
[chem?
Ciągle na dobie, wiecznie aktualna,
Gadasz, co niesie Andrzejowi ślina,
Żydów i soców pogromczyni walna,
Quo vadis domina?!

A ten odwieczny bard „Gazety Nowej”,
Zarazem filar „Myśli niepodległej”,
Też puszcza strumień wodnistej wymowy
W organie „związku” pod maską — prze-
[biegły!
Wciąż na „krańcowych” kieruje tarany,
Wraz z tymi, którzy zawsze z wiatrem płyną,
Ten przez Andrzeja... niezdemaskowany,
Quo vadis... domino?

Dokąd mknie cały tych działaczy rejestr,
Co polski postęp wiedzie na manowiec,
Żaden z tych panów postępowcem nie jest,
Za to nasz postęp zmienia w postęp...
[owiec,
Gdy wicher wściekle dmie z prawa i z góry,
Wasz „związek” tylko w lewo harce czyni,
Dokąd pędzicie „okrętowe szczury”,
Quo vadunt domini?!

Nick.

WARUNKI PRENUMERATY:

W WARSZAWIE:

rocznie	rb. 8
półrocznie	„ 4
kwartalnie	„ 2

Redaktor przyjmuje od godz. 4 pp. do 6.

Na prowincji i Zagranicą:

rocznie	rb. 10.—
półrocznie	„ 5.—
kwartalnie	„ 2.50

Cena pojedynczego numeru kop. 15.

CENY OGŁOSZEŃ: Za wiersz petitu I-a str. 30 kop., II i III str. 20 kop., ostatnia str. 25 kop.
Ustępstwo: Od 6 do 12 razy 20%, od 1 do 24 ogł. 30%, od 24 do 52 ogł. 50%.

Kierownik pisma **Stefan Gacki.** Redaktor i wydawca: **Anna Herszfinkiel.**
Drukarnia Artystyczna, Warszawa, Nowy-Świat 47. Tel. 35-80.

Kierownik pisma Stefan Gacki. Redaktor i wydawca Anna Herszfinkiel.

Druk. Art. K. Kopytowski i S-ka, Nowy-Świat 47. Tel. 35-80.